

JASPER FFORDE

OSTATNI
SMOKOBÓJCA

Przełożył Bartosz Czarcoryski



KSIĘGA PIERWSZA
KRONIKI
JENNIFER STRANŻE

KRAKÓW 2013

Dla Stelli Morel

1897–1933

2010–

Babci, której nigdy nie poznałem

Córce, którą dopiero poznam



Niegdyś byłam sławna. Moja twarz widniała na koszulkach, przypinkach, pamiątkowych kubkach i plakatach, gościłam na pierwszych stronach gazet i w telewizji, a nawet zaproszono mnie do *Yogi Baird Show*. „Małż Codzienny” nazwał mnie „najbardziej wpływową nastolatką”, a „Mięczak Niedzielny” określił „kobietą roku”. Dwoje ludzi próbowało mnie zabić, grożono mi więzieniem, dostałam szesnaście propozycji małżeństwa, zostałam wyjęta spod prawa przez króla Snodda. To wszystko i jeszcze więcej stało się w zaledwie kilka dni.

Nazywam się Jennifer Strange.

jeden

MaGIA PRAKTYCZNA



Zanosiło się na to, że do popołudnia będzie jeszcze goręcej; akurat wtedy, gdy praca zaczynała się komplikować i wymagała pełnej koncentracji. Ładna pogoda miała przynajmniej jedną zaletę: magia działała lepiej i miała większy zasięg. Wilgoć nie jest sprzymierzeńcem sztuk tajemnych. Żaden mag wart swojej różdżki nie zdołał zbyt wiele w deszczu – zapewne dlatego łatwo im było przywołać leciutką mżawkę, lecz przerwanie ulewy graniczyło z niemożliwością.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na samochód służbowy, więc trzech czarodziejów, ja i stwór zapakowaliśmy się do mojego volkswagena w kolorze będącym mieszanką rdzy i pomarańczowego (z przewagą rdzy) i ruszyliśmy w krótką trasę z Herefordu do Dinmore. Lady Mawgona uparła się, że usiądzie na miejscu pasażera („Bo tak ma być!”), co oznaczało, że Mag Moobin i słusznych rozmiarów Kosz Towny musieli się

ścisnąć z tyłu razem z Kwarkostworem, który w tym ukropie ledwo dychał. Sama wślizgnęłam się za kółko, co wszędzie indziej w Niezjednoczonych Królestwach mogłoby zostać uznane za swoiste kuriozum – ale nie tutaj, nie w Królestwie Snodd, gdzie o przystąpieniu do egzaminu na prawo jazdy decyduje nie kryterium wieku, a dojrzałości. Dlatego też prowadzę samochód od trzynastego roku życia, zaś niektórzy czterdziestolatkwie do dzisiaj nie zostali dopuszczeni do testów. I bardzo dobrze – czarodzieje są tak nieuważni, że wpuszczenie ich do auta równa się masakrze piłą mechaniczną na szkolnej dyskotece.

Niby mieliśmy sporo tematów do omówienia – zlecenie, które nam właśnie wpadło, pogoda, eksperymentalne zaklęcia (te udane i te nieudane), ekscentryczne zachowania Króla, ale i tak nikt nawet nie otworzył ust. Towny, Moobin i Mawgona, pomimo że razem stanowili trio moich najlepszych magów, niezbyt dobrze się dogadywali. Nie żywili do siebie żadnej urazy, po prostu tacy są czarodzieje – charakterni i skłonni do dąsów; wiele czasu i energii pochłania potem zażegnanie konfliktu. Tak naprawdę w prowadzeniu agencji Kazam wcale nie chodzi o czary i zaklęcia, dyplomację i biurokrację, ale o niańczenie magów. Praca z uczonymi w magicznych pismach przypomina czasem robienie na drutach ugotowanym spaghetti: kiedy już myślisz, że do czegoś dochodzisz, nagle wszystko rozpada ci się w rękach. Prawdę mówiąc, nie przeszkadzało mi to zbytnio. Czy byli frustrujący? Pewnie. Czy byli nudni? Nigdy.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – rzuciła urażonym tonem Lady Mawgona, łypiąc wściekle na Kosz Townego, który co chwilę, nieśpiesznie, przyjmował postać morsa i z powrotem ludzką.

Kwarkostwór gapił się na niego dziwnym wzrokiem, a każda transformacja niosła ze sobą nieprzyjemny powiew rybiego odoru, który kumulował się w maleńkim aucie.

Dobrze, że mieliśmy pootwierane okna. Dla Lady Mawgony, która niegdyś, za lepszych czasów, służyła jako naddworna czarodziejka, zmiana postaci przy ludziach była istnym *faux pas*.

– Gruf, gruf – wymamrotał Kosz Towner, usiłując powiedzieć coś sensownego jako mors (co niezbyt mu wychodziło), po czym dodał niezrażony, już w ludzkiej skórze: – Dostrajam się. Nie mów, że ty nie musisz.

Razem z Moobinem spojrzeliśmy na Lady Mawgonę, ciekawi, czy ona również się dostraja. Moobin przygotowywał się do zlecenia, majstrując przy „Oczopląsie Codziennym”. Od momentu naszego wyjazdu, czyli w ciągu dwudziestu minut, zdążył już rozwiązać krzyżówkę. Nie jest to jakiś niezwykle wyczyn, „Oczopląs” publikuje raczej dość łatwe rzeczy, lecz Moobin, za pomocą swoich talentów psychokinetycznych, wpisywał hasła literami przeniesionymi z artykułu umieszczonego na stronie obok. Krzyżówka była wypełniona niemal w całości i niemal bezbłędnie, za to tekst o patronacie Królowej Mimozy nad Fundacją Pomocy Wdowom po Poległych w Wojnach Trolli wyglądał jak dziurawy ser.

– Nie zaszczycę tego pytania odpowiedzią – rzuciła Lady Mawgona wyniosłym tonem – a co więcej, odmawiam posługiwania się terminem „dostrajać”. To Quazifukacja, a nie „dostrajanie”.

– Posługiwanie się starym językiem sprawia, że ludzie widzą w nas zasuszonych staruchów – odparował Towny.

– Ludzie powinni widzieć w nas tych, kim jesteśmy – obruszyła się Lady Mawgona. – Przedstawiciele elitarnej profesji.

„Niegdyś elitarnej profesji”, pomyślał Moobin, niechcący przekazując swoje gorzkie refleksje dalej na tak niskich fałdach umysłowych, że nawet ja potrafiłam odebrać wiadomość. Lady Mawgona odwróciła się i spojrzała gniewnie na maga.

– Zatrzymaj swoje myśli dla siebie, młody człowieku.

Moobin wysłał do niej kolejną myśl, lecz nie byłam w stanie jej odczytać. Nie mam pojęcia, co mógł sobie pomyśleć, lecz Lady Mawgona powiedziała wyniośle:

– Niech cię...! – i demonstracyjnie utkwiała wzrok w bocznej szybie.

Westchnęłam. Oto moje życie.

Z czterdziestu pięciu czarodziejów, poruszcycieli, jasnowidzów, zmiennokształtnych, kierujących pogodą, pilotujących latające dywany i innych uczonych w Sztukach Tajemnych zatrudnionych w Kazam większość była nieaktywna zawodowo z powodu chorób, szaleństwa albo spowodowanych nieszczęśliwymi wypadkami lub reumatyzmem kontuzji niezwykle ważnych dla magii palców wskazujących.

Z owych czterdziestu pięciu jedynie trzynastu było zdolnych do pracy, a tylko dziewięciu miało ważne licencje – dwóch od dywanów, para prekognitów, i, co najważniejsze, pięciu czarodziejów z pozwoleniem na rzucanie uroków. Lady Mawgonia zdecydowanie była najbardziej humorzasta, ale też i niebywale uzdolniona, choć jej moc, jak każdego innego maga, znacząco zmalała w ciągu ostatnich trzech dekad. Lecz ona, w przeciwieństwie do pozostałych, nie chciała się z tym faktem pogodzić. Na jej obronę powiem, że straciła więcej niż inni, ale to chyba żadna wymówka. Siostry Karamazow niegdyś też mogły się pochwalić królewskim patronatem i były tak fajne, jak placek z morelami. Miały, co prawda, kota w głowie, lecz nie czyniło ich to mniej sympatycznymi.

Może i współczuwałabym Mawgonie, gdyby nie to, że tak trudno było się z nią dogadać. Miała w zwyczaju traktować rozmówcę z góry, przez co czułam się niekomfortowo w jej towarzystwie, poza tym zawsze korzystała z okazji, żeby pokazać mi, gdzie jest moje miejsce. Odkąd zniknął Pan Zambini, jeszcze jej się pogorszyło.

- Kwark – powiedział Kwarkostwór.
- Musieliśmy brać ze sobą tę bestię? – zapytał Kosz Towny.
- Kiedy tylko otworzyłam drzwi, wskoczył do środka.

Kwarkostwór ziewnął, odsłaniając kilka rzędów ostrych jak brzytwy zębów. Pomimo łagodnego usposobienia stwora, jego specyficzny wygląd wywoływał u każdego nieodparte wrażenie, że gdy tylko się odwróci, bestia rzuci się na niego i odgryzie kawał mięsa.

Jeśli jednak Kwarkostwór był świadomy wrażenia, jakie wywołuje, nie dawał tego po sobie poznać. Może faktycznie nie miał pojęcia, jaką grozę budził, i zastanawiał się, czemu ludzie często uciekali z krzykiem na jego widok.

– Zaniebaliśmy swoje obowiązki tymczasowego szefa Kazam – powiedziałam, mając nadzieję, że odwróć uwagę czarodziejów od nieprzyjemnej atmosfery, jaka panowała w aucie, i obudzę w nich ducha pracy zespołowej – gdybym nie wspomniała, że to zlecenie jest dla nas niezmiernie ważne. Pan Zambini zawsze powtarza, iż żeby przetrwać, musimy umieć się zaadaptować. Jeśli ta robota wypali, być może otworzą się przed nami zupełnie nowe, przynoszące niemałe zyski możliwości, a właśnie tego teraz nam potrzeba.

– Humph! – burknęła Lady Mawgona.

– Musimy więc być w formie, gotowi do pracy na najwyższych obrotach – dodałam. – Powiedziałam panu Digby’emu, że do szóstej skończymy.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Myślę, że zdawali sobie sprawę z wagi tego zlecenia. Lady Mawgona pstryknęła palcami, a skrzynia biegów volkswagena, dotychczas wydająca z siebie niepokojące, sugerujące rychłą i kosztowną naprawę odgłosy, nagle ucichła. Skoro Mawgona była w stanie wymienić tuleje w skrzyni biegów podczas jazdy, z pewnością była dostrojona nie gorzej niż pozostali.

Zapukałam do drzwi domu z czerwonej cegły, stojącego na krańcu wioski. Otworzył mi rumiany jegomość w średnim wieku.

– Pan Digby? Nazywam się Jennifer Strange, jestem z Kazam, zastępuję Pana Zambiniego. Rozmawialiśmy wcześniej przez telefon.

Zlustrował mnie wzrokiem z góry na dół.

– Nie jest pani przypadkiem trochę za młoda?

– Mam szesnaście lat – powiedziałam przyjaźnie.

– Szesnaście?

– No... za dwa tygodnie będę miała szesnaście.

– Czyli ma pani piętnaście?

Przetrawiłam jego słowa.

– To szesnasty rok mojego życia.

Pan Digby zmrużył oczy.

– Nie powinna być pani teraz w szkole?

– Jestem ubezwłasnowolniona umową uprawniającą mnie do pełnienia obowiązków menedżera Kazam – odparłam tak elokwentnie, jak tylko potrafiłam, usiłując nie zwracać uwagi na pogardę żywioną w stosunku do mnie przez wolnych ludzi.

Wychowałam się pod okiem Siostrzeństwa, które sprzedało mnie przed czterema laty do Kazam. Miałam przed sobą jeszcze dwa lata bezpłatnej pracy na rzecz firmy, zanim będę mogła choćby złożyć podanie o zmianę mojego statusu, co wreszcie, pewnego dnia, po wypełnieniu tony papierów i paru latach użerania się z biurokratami, zaowocuje moją wolnością.

– Umowa, nie umowa – odparł niezrażony pan Digby – ale gdzie jest Pan Zambini?

– Jest obecnie niedysponowany – wyjaśniłam, próbując brzmieć jak najbardziej dojrzałe – i tymczasowo przejęłam jego obowiązki.

– Tymczasowo przejęła pani jego obowiązki? – powtórzył. – Czemu pani, a nie któreś z nich?

Chodziło mu o oczekujących w samochodzie magów.

– Biurokracja jest dla maluczkich – rzekła Lady Mawgona tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Mam za dużo na głowie, a papierologia nie wpływa dobrze na moje problemy z przerzedzającą się grzywą – powiedział Kosz Towny.

– Mamy całkowite zaufanie do Jennifer – dodał Mag Mobin, który doceniał moją pracę bardziej niż większość. – Zresztą znajdy dojrzewają szybciej. Możemy już zacząć?

– Sam nie wiem – odparł pan Digby po dłuższej pauzie, przyglądając się nam z miną wyrażającą poważne wątpliwości co do naszego profesjonalizmu.

A jednak nie odprawił nas z kwitkiem i zdjął z wieszaka płaszcz i kapelusz.

– Będzie zrobione do szóstej, jak ustaliliśmy?

Potwierdziłam, a pan Digby przekazał mi klucze. Szerokim łukiem ominął Kwarkostwora, usadowił się na przednim fotelu swojego auta i odjechał. Kiedy chodzi o magię, przypadkowi obywatele nie powinni szwendać się w pobliżu. Nawet zwyczajny czar zawiera w sobie ładunek zbędnej magii, który może spowodować poważne spustoszenie, jeśli wymknie się spod kontroli i trafi na przypadkowego

gapia czy przechodnia. Nie to, żeby kiedykolwiek przydarzyło się coś naprawdę złego; jednemu facetowi z nosa wyrosła broda, inny zaczął kwiczeć jak świnia, a ktoś tam jeszcze sikał na niebiesko, tego typu rzeczy. Efekty uboczne szybko ustępowały, ale to jednak czarny PR, zaś procesów sądowych boimy się jak ognia.

– Okej – powiedziała do mojego wesołego tria – to zaczynajcie.

Trójka magów spojrzała na mnie, a potem na zwyczajny dom na przedmieściach.

– Niegdyś przyzywałam burze – westchnęła Lady Mawgona.

– Jak my wszyscy – powiedział Moobin.

– Kwark – podsumował Kwarkostwór.

Odsunęłam się od nich, gdy między czarodziejami rozgorzała dyskusja nad miejscem, od którego powinni zacząć. Żadne z nich nigdy wcześniej nie zmieniało instalacji elektrycznej za pomocą czarów, lecz po przeszukaniu zaklęć w języku aramejskim odkryliśmy, że jest to wykonalne, a do tego wcale nie takie trudne – jedynym warunkiem było połączenie magicznych sił całej trójki. To Pan Zambini wpadł na pomysł wkroczenia na rynek budowlano-remontowy. Pozbywanie się kretów z podwórek, zmniejszanie przedmiotów, aby mieściły się w składzikach i magazynach przemysłowych, i znajdowanie zgubionych rzeczy to łatwizna, ale stawki za taką robotę nie były oszałamiające.

Za to wymiana instalacji to zupełnie inna bajka.

W przeciwieństwie do zwykłych elektryków nie musimy kuć tynków. Żadnego bałaganu, żadnych problemów i wszystko zrobione w zaledwie kilkunaście godzin.

Usiadłam w swoim volkswagenie, żeby mieć dostęp do radia. Każdy telefon do biura zostanie przekierowany tutaj. Funkcja menedżera Kazam była powiązana ze stanowiskami recepcjonistki, księgowej i kasjerki. Musiałam więc opiekować się czterdziestoma pięcioma czarodziejami, dbać o budynek, w którym wszyscy rezydowali, i wypełniać niekończące się formularze, których wymagał Akt Mocy Magicznych (poprawiony w roku 1966), obejmujący najmniejszy nawet czar. Powodów, dla których robię to, co robię, było kilka: po pierwsze, Wielki Zambini nie mógł stać na czele Kazam, gdyż zaginął; po drugie, jestem częścią tej firmy, odkąd ukończyłam dwanaście lat, i znam czarodziejski biznes od podszewki; po trzecie, nikt inny nie był zainteresowany.

Zapisało radio.

– Agencja Kazam – powiedziałam radosnym tonem – mogę w czymś pomóc?

– Mam nadzieję – rozległ się bojaźliwy, nastoletni głos. – Zrobicie coś, żeby pokochała mnie Patty Simcox?

– Proponuję kwiaty.

– Kwiaty?

– Ano kwiaty. Potem kino, parę żartów. Kolacja, tańce. Płyn po goleniu?

– Płyn po goleniu?

– Aha. Golisz się?

– Raz w tygodniu – odparł nastolatek – ale już mam tego dość. Niech pani słucha, myślałem, że łatwiej będzie...

– ... jasne, moglibyśmy coś zrobić, ale to nie byłaby Patty Simcox. Oczywiście mała cząstka dawnej Patty gdzieś tam będzie tkwiła, lecz poczujesz się jak na randce z manekinem krawieckim. Z miłością się nie zadziera. Moja rada jest taka: spróbuj tradycyjnego sposobu.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, lecz chłopak jedynie przetrawiał tę myśl.

– Jakie to mają być kwiaty?

Dałam mu parę rad i poleciłam kilka dobrych restauracji. Podziękował i odłożył słuchawkę.

Spojrzałam na Maga Moobina, Lady Mawgonę i Kosz Townego, którzy okrążali dom. Bo w czarowaniu wcale nie chodzi o mamrotanie zaklęć i machanie rękami – wszystko polega raczej na odpowiednim podejściu do problemu i ułożeniu magicznych inkantacji tak, aby efekt był najlepszy z możliwych, a dopiero potem wymachuje się łapskami.

Trójka czarodziejów nadal była w tak zwanej „fazie przygotowań” – pod tym terminem kryło się wgapienie w ściany, picie herbatki, dyskusje, kłótnie, kolejne dyskusje i herbatki, i jeszcze więcej gapienia się.

Znowu zapiszczało radio.

– Jenny? Tu Perkins.

Młokos Perkins był jednym z najmłodszych czarodziejów zatrudnionych w Kazam. Został przez nas zwerbowany

w momencie, kiedy cieszyliśmy się krótkotrwałym okresem finansowej stabilności i odbywał u nas praktykę. Specjalizował się w Zdalnej Perswazji, ale nie szło mu zbyt dobrze. Kiedyś usiłował zaszczepić nam cieplejsze uczucia do swojej osoby, wysyłając nam podprogową wiadomość o treści: „Jeśli ja nie jestem cool, to kto jest?”, lecz coś mu się pomieszało i zdradził nam telepatycznie, że często oszukuje w Scrabble. Potem dziwił się, kiedy ktoś na niego patrzył i kiwał smutno głową. Traktowaliśmy to jako zabawną wpadkę, aż wreszcie nam się znudziło, ale on podchodził do całej sprawy niezwykle poważnie. Ponieważ byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, dogadywaliśmy się całkiem nieźle, zresztą lubiłam go, choć nigdy nie miałam pewności, czy to szczerza sympatia, czy też została wygenerowana magicznymi sugestiami. Pomimo jego częstych zaproszeń do kina, na herbatę tudzież na spacer do rafinerii, gdzie mogliśmy podpatrzeć płonące gazy o zachodzie słońca, nigdy nie zbliżyłam się do niego bardziej niż na odległość pośpiesznie wypowiedzianego: „Cześć!”.

– Hej, Perkins – powiedziałam do odbiornika – wyprawiłeś Patricka do pracy?

– Już prawie, ale chyba znowu jedzie na marcepanie.

Nie była to dobra informacja. Patrick z Ludlow był Poruszy-cielem. Może nie grzeszył intelektem, ale był miłym i uprzejmym człowiekiem obdarzonym niespotykaną mocą panowania nad grawitacją. Zarabiał na życie przestawianiem źle zaparkowanych samochodów na zlecenie miejskiej straży. Wymagało to od niego sporego wysiłku, dlatego spał po czternaście,

a nawet dwadzieścia cztery godziny, zaś sprawa uzależnienia od marcepanu to rzecz, o której wolałabym nie rozmawiać.

– Co poza tym?

– Siostrzeństwo przysłało twojego zastępcę. Co mam z nim zrobić?

Zastanawiałam się, kiedy to się wreszcie stanie. Siostrzeństwo co cztery lata dostarczało do Kazam jakąś znajdę, gdyż wyuczenie kogoś zawodu wymagało nieprzeciętnych zdolności koniecznych na stanowisku Menedżera Sztuk Tajemnych, a niewielu się do tego nadawało. Sharon Zoiks była czwarta, ja jestem szósta, a ten nowy będzie siódmy. O piątce nie rozmawiamy.

– Zamów mu taksówkę i każ do mnie przyjechać. Albo nie, za drogo wyjdzie. Niech Nasil przywiezie go tutaj na dywanie. Zachowajcie jednak podstawowe zasady bezpieczeństwa. Wsadź go w karton albo co.

– Oczywiście. A tak na marginesie, mam dwa bilety na koncert sir Matta Griffłona. Chcesz pójść?

– Z kim?

– Z kim? Ze mną, oczywiście.

– Pomyślę o tym.

– Jasne – powiedział i wymamrotał pod nosem, że zna przynajmniej tuzin osób, które dosłownie zabiłyby kogoś za możliwość zobaczenia sir Matta na żywo, a potem odwiesił słuchawkę.

Tak naprawdę bardzo chciałam pójść na koncert Griffłona. Nie dość, że był jednym z faworytów króla Snodda

i miał status prawdziwej gwiazdy, to jeszcze w dodatku był przystojniakiem z kwadratową szczęką i bujną grzywą. Po chwili uznałam jednak, że dobrze zrobiłam, choć zżerała mnie ciekawość, jak wyglądałaby randka z Perkinsem. Nawet jeśli omamił mnie za pomocą magii, nie zapominałam o tym, jak nierozważnie byłoby się wiązać z kimś z branży. Istniał bardzo dobry powód, dla którego wszyscy byliśmy singlami. Miłość i magia są jak olej i woda – nie sposób ich mieszać.

Siedziałam dalej w aucie i patrzyłam na trójkę czarodziejów, którzy nadal obchodzili dom z każdej strony, najwyraźniej zajmując się... niczym. Wiedziałam jednak, że lepiej o nic nie pytać i udawać, że nie interesuje mnie, co i jak robią. Wystarczy chwila nieuwagi i przypadnie przygotowywany pieczołowicie czar. Moobin i Towny mieli na sobie zwyczajne, codzienne ubrania i pamiętali o niezabieraniu ze sobą żadnego metalu, gdyż istniało ryzyko poparzeń, ale Lady Mawgona uparła się na tradycyjną suknię. Przy każdym jej kroku długie czarne krynoliny trzeszczały jak zeschnięte liście. Podczas częstych awarii prądu, które zdarzały się w Królestwie, zawsze, pomimo ciemności, wiedziałam, że to ona sunie niekończącymi się korytarzami Wież Zambiniego. Raz, w przypływie dobrego humoru, ktoś przypiął do jej sukni błyszczący księżyc i gwiazdki wycięte ze srebrnej folii, co wywołało u niej napad szału. Przez prawie dwadzieścia minut wrzeszczała na Pana Zambiniego i krzyczała, że „nikt nie traktuje jej poważnie oraz jak można pracować z infantylnymi durniami”. Zambini odbył z każdym z nas rozmowę, ale zapewne, tak jak i my, uznał ten akt

wandalizmu za całkiem zabawny. Nigdy nie odkryliśmy, kto to zrobił, ale podejrzewam młodszego brata Kosz Townego, Gruna. Kiedyś dla zabawy zmienił kolor sierści okolicznych kotów na zielony, przez co dał nam nieźle popalić, bo ktoś zgłosił to na policję i mieliśmy problemy. „Magiczne szykany, złośliwe zaklęcia i mamiące uroki” były bezwzględnie zakazane, a nieufność wobec czarodziejów to nic nowego od czasu pamiętnego epizodu z osiemnastego wieku, kiedy Drax Niszczyciel ni z tego ni z owego zapragnął, aby ludzie zadrżeli przed nim ze strachu, padli na kolana i służyli mu po wsze czasy. Aby odciągnąć uwagę od żartu Grun Townego, Wielki Zambini musiał czarami przefarbować na zielono sześćset kotów w różnych częściach Niezjednoczonych Królestw. Udało się zmylić trop, bowiem winą za dziwną chorobę obarczono nie czary, ale wadliwą partię kociego żarcia.

Nie miałam wiele do roboty, wysiadłam więc z auta, ułożyłam się na stojącej przed domem ławeczce ogrodowej i zaczęłam czytać gazetę Moobina. Tekst artykułu, z którego Mag pozabierał litery, nadal nie znalazł się na swoim miejscu, co dość mnie zmartwiło. Podobne czary są zazwyczaj krótkotrwałe i spodziewałam się, że będę już mogła przeczytać tekst.

Zdjęcie czaru zużywa dwa razy więcej energii niż jego rzućenie, więc większość czarodziejów nie traci na to czasu i po prostu czeka, aż zaklęcie samo zniknie, rozplącze się niczym słabo związany warkocz. Magia jest jak maraton – trzeba dostosować tempo; jeśli biegnie się sprintem, trudno w ogóle dobiec do mety. Moobin musiał czuć się pewnie, skoro związał

ten czar na supeł. Zajrzałam pod samochód i sprawdziłam, czy nic nie cieknie, ale wszystko było w porządku, a skrzynia biegów lśniła jak nowa.

Wyglądało na to, że Lady Mawgonia również miała dobry dzień.

– Kwark.

– Gdzie?

Kwarkostwór jednym z ostrych szponów wskazał na wschód, skąd Księżę Nasil pędził w naszą stronę na złamanie karku. Zanurkował ostro, okrążył dwukrotnie dom i wylądował miękko zaraz obok nas. Lubił latać na stojąco, traktując swój dywan jak deskę surfingową, czego nie mógł ścierpieć Owen z Rhayder, który pilotował w tradycyjny sposób – siedząc po turecku. Nasil zwykł chodzić w luźnych szortach i hawajskich koszulach, co nie podobało się z kolei Lady Mawgonie.

– Cześć, Jenny – powiedział Nasil z szerokim uśmiechem, podając mi dokumenty przewozowe. – Przesyłka do ciebie.

Na dywanie leżał sporej wielkości karton z logo Płatków Mniam. Pudło otworzyło się od środka i wyskoczył z niego chudy jak patyk chłopaczek z kędziorami w kolorze piasku i twarzą upstrzoną piegami, które tańczyły wokół jego zadartego nosa. Miał na sobie poniszczony łańch, ewidentnie z drugiej ręki, i wyglądał na kogoś, kto nie bardzo wie, gdzie i po co się znalazł.